CNOTY OBYWATELSKIE.

Że człowiek winien żyć w społeczeństwie i względem tego społeczeństwa ma ścisłe i wielkie obowiązki, to nie jest jakiemś odkryciem Marksa, Lenina lub innych, lecz wiedzieli o tem i nauczali tego już filozofowie średniowiecza, a największy z nich, św. Tomasz z Akwinu, niejednokrotnie powtarza ową sławną maksymę, że człowiek jest zwierzęciem towarzyskiem: „homo est animal sociale". A chociaż, odmiennie od dzisiejszych socjalistów, wielki ten mędrzec naucza, że społeczeństwo jest dla człowieka, a nie człowiek dla społeczeństwa, to jednak podnosi, że jednostka, korzystając z opieki i pomocy społeczeństwa, bez których obyć się nie może, ma także względem niego zobowiązania, idące tak daleko, że nawet w pewnych razach winna życie oddać dla dobra społeczeństwa.

Każde spełnienie powinności i obowiązku jest uczynkiem dobrym, a nałóg czy łatwość czynienia dobrze nazywamy cnotą. Skoro więc istnieją obowiązki jednostki względem społeczeństwa, istnieć też muszą cnoty społeczne czyli obywatelskie. I wiemy z historji, że ludzie, a nawet całe narody, nieraz heroiczne dawały dowody cnót takich, i to już narody pogańskie, żyjące na całe wieki przed Chrystusem. Historja Greków i Rzymian z ich epok najświetniejszych roi się od przykładów takich cnót obywatelskich, a dzieje ich i dzieła takich Solonów, Milcjadesów, Scipjonów, Katonów i tylu, tylu innych, stanowić będą zawsze źródło najpiękniejszych pod tym względem przykładów. Społeczeństwa chrześcijańskie, nie wyłączając dawnej historji naszego narodu, nietylko narodom tamtym co do cnót tych nie ustępują, lecz posiadają je w stopniu wyższym i w sposób szlachetniejszy, oparty na zasadach niespożytych, wiecznych, bo patrzących na społeczeństwo jako na twór bożej Opatrzności. Maleją natomiast

te cnoty lub zupełnie zanikają w społeczeństwach upadających, będących w stanie rozkładu wewnętrznego i stąd bliskich zaniku. I to jest całkiem jasne. Cnoty te bowiem mają przedewszystkiem i bezpośrednio za przedmiot dobro i potęgę społeczeństwa, gdy więc cnót tych zabraknie, musi zginąć także i samo społeczeństwo, niema bowiem już tych, którzyby dbali o jego dobro.

Poszanowanie i posłuch dla władzy.

Z tego to pojęcia cnót obywatelskich, jako mających za przedmiot dobro społeczeństwa, łatwo wywieść, jakie są te cnoty. Więc przedewszystkiem i na pierwszem miejscu stoi poszanowanie i posłuch dla władzy. Społeczeństwo bowiem, jak sama nazwa wskazuje, musi iść społem i istnieć społem, to znaczy w najważniejszych przynajmniej sprawach muszą wszyscy tego samego chcieć i nie chcieć, muszą się zgodzić na jedno wspólne dobro. Nie mogą zaś tego dokonać inaczej, jak tylko idąc za przodownikiem czy przodownikami, których głos i zdanie muszą wszyscy uszanować. Tak jest ze stanowiska rozumu. Ze stanowiska zaś wiary jest jeszcze więcej. Wiara bowiem mówi nam, że człowiek w całem swem istnieniu zależny jest od Boga, i że w życiu publicznem, społecznem, zastępcą tego Boga i wykonawcą Jego woli w rzeczach odnoszących się do dobra społecznego jest legalna władza. „Wszelka władza od Boga" — to dewiza i zasada chrześcijańska, od której Kościół nigdy a nigdy nie odstąpi i odstąpić nie może, bo pochodzi ona od samego Boga. To uszanowanie dla władzy było zawsze tak ściśle przestrzegane wśród chrześcijan, że nawet gdy władcami byli poganie, ludzie źli i niesłychanie wrogo dla religji usposobieni, mimo to nigdzie w księgach nowego Testamentu, ani w listach apostolskich lub dziejach apostolskich nie czytamy jakichś obelg przeciwko ówczesnym przedstawicielom legalnej władzy, chociaż tak złym i zdeprawowanym. Także wszystkie społeczeństwa, które doszły do jakiejś kultury, osobnemi i bardzo surowemi prawami strzegły honoru i czci swych władców, a w etyce chrześcijańskiej okoliczność, że grzech jakiś, czyn czy słowo, jak obelgi, oszczerstwa itp. popełniono przeciwko władzy legalnej, szczególną i nową nadaje złość temu grzechowi. Żaden też chrześcijanin uświadomiony religijnie, żaden dziennik prawdziwie katolicki, nie uchybi pod żadnym warunkiem czci i poszanowaniu władzy i jakimkolwiek jej przedstawicielom.

Praworządność.

Dalszą cnotą obywatelską to poszanowanie zupełne, tak wewnętrzne, jak zewnętrzne, dla prawa i praworządności. Prawo, to fundament i szkielet

całego budynku społecznego, gdy ono się poczyna rysować i chwiać, w niebezpieczeństwo popada istnienie całego społeczeństwa. Stąd każdy bezprawny uczynek jest zamachem na społeczeństwo. Zamach ten odeprzeć musi skutecznie i natychmiast sprawiedliwość, potępić go też musi całe społeczeństwo. W społeczeństwie zdrowem istnieć musi większość taka, która wiernie i wytrwale opowiada się i stoi za władzą i za prawem. Czyn bezprawny odrzuczony przez tę zdrową większość społeczeństwa, potępiony i ukarany przez sprawiedliwość, chociaż jest przykrym, jednak dla społeczeństwa jako całości nie jest niebezpiecznym. Gdy jednak uchodzi on publicznie bezkarnie, gdy sprawiedliwość wobec niego stoi bezwładna, albo co gorzej, gdy niemą w społeczeństwie tej zdrowej większości, któraby ten czyn potępiła, wtedy organizm społeczny wchłania go niejako w siebie, jak niebezpieczny zarazek i truciznę i chorzeje coraz ciężej.

Czyn zły można i trzeba nieraz przebaczyć, ale go ulegalizować nigdy nie można. Bo nawet Bóg, choć wszechmocny, nie może ulegalizować czynu, który był złym, gdy go popełniono. Może On grzech przebaczyć, ale mimo swej wszechmocy nie może sprawić, by czyn, który w chwili popełniania był grzechem, obecnie, już po popełnieniu, dla jakichkolwiek powodów grzechem być przestał.

Poczucie zaś praworządności i przejęcie się czcią dla prawa winno być tak wielkie i tak głębokie, że musi obejmować wszystkie poczynania, małe i wielkie. Dobrzy obywatele winni nadto dać wszelką pomoc zarówno wyższej władzy, stającej w obronie prawa, jak i najniższemu funkcjonarjuszowi państwa — bo każdy, zarówno wielki, jak i mały, występuje w imieniu władzy praworządnej, a więc w imieniu Boga, który jest najwyższym panem wszystkich społeczeństw i stróżem praw wszelkich. To też chrześcijanin winien zachować prawo nawet wtedy, gdy go nikt nie widzi, gdy ma zapewnioną bezkarność ze strony ludzi — bo wie, że nie może ujść czyn jego bezkarnie wobec Boga.

Pracowitość.

Konieczną cnotą obywatelską jest dalej pracowitość. Społeczeństwo tworzy jedną rodzinę, i jak w rodzinie, gdy jeden z jej członków jest próżniakiem i darmozjadem, obiąża przez to innych z rodziny, tak samo i w społeczeństwie każdy, kto pracować może w jakikolwiek sposób, a nie pracuje, ten jest pasorzytem i szkodnikiem publicznym. Nie mamy tu wcale jednak na myśli owych chorych teoryj, któreby chciały wszystkich zaprząc do pracy wyznaczanej i wynagradzanej przez państwo, po odebraniu im majątku osobistego. Owszem utrzymujemy z całym naciskiem, zgodnie

z odwiecznem prawem bożem, że prawo własności osobistej jest nietykalne, konieczne, naturalne i kto je chce zachwiać, ten rzuca całe społeczeństwo na wzburzone fale najgorszych namiętności, które je ostatecznie pogrążą w zupełnym upadku, nędzy i zdziczeniu. Ale społeczeństwo ma prawo żądać, by i ci, którzy pracą swą nie potrzebują zarabiać na utrzymanie siebie i rodziny, mimo to nie trawili czasu bezczynnie, lecz gorliwie, chociaż bezpłatnie, lecz z niemniejszem od zarobników wytężeniem sił, przyczyniali się pracą swą do dobra społecznego.

Pamiętać trzeba, że społeczeństwo na swej ziemi utrzymać się może tylko pracą, i z tej wspólnej pracy żyć muszą wszyscy, kto więc nie pracuje, podkopuje byt materjalny społeczeństwa. Wysilają się dzisiaj ekonomiści i politycy, by wynaleźć skuteczne sposoby, któreby zdołały uchronić kraj nasz od ruiny finansowej i gospodarczej. Wszystkie te sposoby przez nich podawane pozostaną jednak tylko czczą teorją, jak długo społeczeństwo całe nie przejmie się duchem pracowitości, nie weźmie się gorąco, z całem wytężeniem, do pracy, nie poświęci tej pracy całego czasu, bez oglądania się na rozmaite, często błędne i z wymogami życia całkiem w sprzeczności stojące poglądy co do czasu pracy.

Oszczędność.

Nie pomoże jednak praca, chociażby najbardziej wydatna, gdy w społeczeństwie braknie cnoty oszczędności. Już w życiu jednostek widzimy, że choćby ktoś nie wiem jakie miał ze swej pracy dochody, gdy nie oszczędza i grosz zarobiony trwoni, niczego się nie dorobi, on i jego rodzina zawsze stać będzie nad przepaścią ubóstwa a nawet nędzy. I nie potrzebuje nawet rozrzucać pieniędzy wielkiemi ilościami, owszem, małą dziurą, jak mówi przysłowie, ujdzie z kieszeni więcej, niż głównym otworem. Nie chodzi tu o sknerstwo i brudną chciwość, bo taki, który gromadzi pieniądze, by je potem pod siebie zagarnąć, wielkim jest szkodnikiem dobra ogólnego; pieniądze jego w bieg puszczone dostarczyłyby możności pracy, materjału i warsztatów dla wielu chętnych do pracy, a tem samem przyczyniłyby się do społecznego dobrobytu. Ale oszczędność rozumna, bogacenie się jednostek i rodzin umiarkowane i bez szkody i krzywdy bliźniego, jest dla dobrobytu materjalnego społeczeństwa rzeczą wprost konieczną. Społeczeństwo nędzarzy będzie samo jako całość nędzarzem i nie będzie miało środków nietylko do obrony swej niezawisłości politycznej, ale i do czynienia wydatków najkonieczniejszych nawet dla dobra społeczeństwa, jako to na szerzenie religji i kultury, na oświatę i szkoły, na budowle i urządzenia użytku publicznego, na cele higjeniczne. Bo nie trzeba się łudzić, pozyczka

z zewnątrz, choć chwilowo pomoże, w końcu musi wyciągnąć ze społeczeństwa pieniądze na zewnątrz, bo za pożyczkę trzeba dawać procent czyli zapłatę. Prawdziwe bogactwo narodowe to nie długi, jakie naród winien zagranicy, ale jego tak zwany majątek narodowy, to jest to, co posiadają obywatele. Wojna ostatnia, w której dwadzieścia miljonów ludzi przez pięć lat nic nie robiło, tylko niszczyło ludzi i majątki, zmniejszyła niezmiernie majątki narodowe we wszystkich prawie państwach, ale nigdzie tak jak w krajach polskich. Niektórzy obliczają, że Polacy, jako całość, mają tylko połowę tego majątku, który mieli przed wojną, inni natomiast utrzymują, że tylko dziesiątą część, a dziewięć dziesiątych bądź w ziemi (Ukraina, Podole, Wołyń i t. d.) bądź w kapitałach, nieruchomościach i ruchomościach przepadła. I zdaje się, że obliczenia drugich, choć może zbyt przesadne, bliższe są prawdy, niż pierwszych — a my tymczasem czuwamy nad tem pilnie, by nikt nie pracował nietylko za wiele, ale nawet tyle, ile może, a w dodatku co zarobimy, trwonimy bezlitośnie.

Zbytkiem otaczali się, jak wiemy z historji, możnowładcy i tyrani dawnych czasów, i to było oczywiście źle. Ale oni rozrzucając na około siebie bogactwa, przynajmniej pozostawili po sobie wspaniałe dzieła sztuki, budowle, popierali wybitnych poetów i uczonych, pokryli kraje wspaniałemi świątyniami, pałacami, krzewili kulturę. Dzisiaj zbytek się zdemokratyzował, objął wszystkie sfery i wyładowuje się w postaci obrzydliwej, najniższej, bezwstydnej rozpusty i grubego pijaństwa. Zapełnia on wstrętne, nieestetyczne i nieetyczne, szkodliwe zarówno dla zdrowia duszy, jak i ciała widowiska teatralne i kinowe, z ogółu prawie kobiet robi bezwstydne wszetecznice, które nie wzdrygają się w wyrafinowanie niemoralnych strojach wychodzić na ulicę, pokazywać się na balach i zabawach publicznych, gdzie się też często zachowują w sposób odpowiedni do swych kostjumów. Byli i dawni trwoniciele zmysłowymi i lubującymi się w ucztach i kieliszku, ale mieli przecież zawsze jakieś dążenie wyższe, stąd wznosili dzieła sztuki, a w chwilach upamiętania się i skruchy budowali świątynie, klasztory, szpitale. Tymczasem zbytek dzisiejszego demokratycznego społeczeństwa topi się cały w zgniliźnie, i nie pozostawi po sobie nic, prócz wstrętnych wspomnień.

Wychowanie młodzieży.

Rozważanie to nasuwa na pamięć inną jeszcze cnotę obywatelską, niezmiernie ważną, bo mającą za przedmiot bezpośrednią przyszłość społeczeństwa. Cnotą tą, to dbałość o młode pokolenie. Więc przedewszystkiem o jego liczbę. Dobre gospodarstwo nie boi się nigdy przybytku rąk do pracy, bo wraz z tym przybytkiem zwiększają się zyski i to w stosunku znaczniej-

szym, niż wyniosą wydatki na utrzymanie nowych pracowników. Paromorgowy ogród, intensywnie obrabiany, większy przyniesie dochód, niż duży, średnio uprawiany folwark. Ale czego się bać w gospodarstwie należy, to przybytku darmozjadów, niedołęgów i próżniaków, którzy chcą używać i z cudzej żywić się tylko pracy. — Biała śmierć, która zwłaszcza w zaprzyjaźnionej z nami Francji tak wielkie zbiera pokłosie, zaczyna i u nas się szerzyć. A wróg to straszny, bo nietylko więcej porywa ofiar w społeczeństwie, niż jakakolwiek może inna choroba zaraźliwa, ale nadto niszczy życie rodzinne, osłabiając szacunek a więc i miłość małżeńską, targając nerwy i siły, zwłaszcza kobiet, i ściąga przekleństwo i kary boże na całą rodzinę, w której taki haniebny występek się szerzy. Mogą być wypadki, gdzie przybytek nowego potomstwa jest z różnych względów niepożądany. Lecz na to tylko jeden jedyny istnieje dozwolony środek, mianowicie wstrzemięźliwość, uzyskana przez modlitwę, umartwienie i wzajemny szacunek. Wszystko inne jest zbrodnią, mniej lub więcej szkodliwą dla tych, którzy zarówno ją popełniają, jak i dla całego społeczeństwa. Człowiek wstrzemięźliwy stanie się ochotniejszym i silniejszym do pracy i tem przynajmniej wynagrodzi społeczeństwu brak potomstwa. Inni natomiast przez swoje praktyki niszczą nerwy i zdrowie, i zwiększają tylko przez to liczbę moralnie nienormalnych, psychopatów, zatruwających atmosferę rodzinną i społeczną. Nie bójmy się wielu dzieci, lecz źle wychowanych dzieci się bójmy, te bowiem, choćby w małej były liczbie, są największą plagą i największą obawą społeczeństwa. Natomiast młodzież płci obojga, tęga i dzielna moralnie i fizycznie, to największy skarb narodu, a im jej więcej, tem z pewnością dla społeczeństwa i jego przyszłości lepiej.

Toteż obywatel dobry i mądry wie, że pierwszą troską społeczeństwa ma być wychowanie należyte, tak moralne, jak i fizyczne młodego pokolenia. Już w przyrodzie wśród zwierząt widzimy, jak tam główne usiłowania jednostek zmierzają do zapewnienia rozrostu gatunku, to znaczy do tego, by powstawało jak najwięcej młodych i by tym młodym zapewnić należytą pomoc w rozwoju i zachowaniu życia. Niejednokrotnie spotykamy też u zwierząt takie urządzenia, że powstanie młodego pokolenia staje się nawet przyczyną śmierci jednego z rodziców, a już ogólnie można prawie powiedzieć, że rodzice wiedzeni instynktem, gotowi w każdej chwili oddać życie w obronie swych młodych. — Społeczeństwo ludzkie ma dbać nietylko o dobro fizyczne młodzieży, ale i to jeszcze bardziej, o dobro duchowe. Stąd do najkonieczniejszych cnót obywatelskich należy troska o to podwójne dobro, a więc i o wychowanie fizyczne i o staranie się, by każde bez wyjątku dziecko otrzymało należyte wykształcenie w rzeczach wiary i moralności, a nadto, by

się wyuczyło dobrze czytać i pisać i głównych przynajmniej wiadomości potrzebnych w życiu codziennem. A z równą też usilnością należy usuwać wszelkie zgorszenia od młodzieży.

Krótki to tylko przegląd cnót najważniejszych, bez których żadne społeczeństwo nie może zachować zdrowia i bytu samodzielnego. Jak widzimy, są to co do swego przedmiotu główne cnoty przyrodzone, to znaczy takie, które można poznać i nabyć środkami przyrodzonemi, a więc rozumem i wolą. Toteż cnoty te, jak już wspomnieliśmy, spotykamy często i to w stopniu wysokim u społeczeństw nawet pogańskich. Chrześcijaństwo, które za główny cel człowiekowi wskazuje życie nadprzyrodzone, pozaziemskie, wieczne, cnót tych jednak bynajmniej nie znosi, lecz je owszem uszlachetnia, nauczając, że jak cała przyroda, tak jej wszystkie prawa pochodzą od Stwórcy i On też nakazuje prawa przyrody zachowywać, a jak powiedzieliśmy, dla człowieka życie w społeczeństwie jest wskazane prawem przyrodzonem. Nic też dziwnego, że te społeczeństwa, które przyjęły religję Chrystusową, rozwinęły się bez porównania szybcej i wspanialej, niż dawne społeczeństwa pogańskie, chociażby o najwyższej kulturze. Ale z drugiej strony trzeba pamiętać, że jak Bóg nie da życia i zdrowia człowiekowi, któryby tylko się modlił a nie jadł, i nie starał się sposobami przyrodzonemi o siły, także też nie da On tężyzny i żywotności społeczeństwom, które „bądź co bądź” są katolickiemi, ale u których cnoty społeczne nie są rozwinięte, owszem nawet lekceważone.

Ponieważ tedy wszystkim nam kazał żyć Bóg w społeczeństwie, więc chce i żąda od nas, byśmy starali się usilnie i rzeczywiście o nabycie cnót tych i ich praktykowanie. Bez cnót obywatelskich nie można być dobrym katolikiem, bez nich nie można też być dobrym, miłującym prawdziwie swój kraj i społeczeństwo obywatelem.

—o—

KATOLICYZM I LIGA NARODÓW.

Na ten temat kreśli „Germania” następujące, bardzo charakterystyczne uwagi.

Zarzuca się często ze strony katolickiej S. D. N., że atmosfera kalwińska Genewy zanadto na nią wpływa. Zarzutom tym można przeciwstawić świadectwo takiego człowieka jak Mgr. Seipel, który zna S. D. N. i werbuje dla niej członków, kiedy tylko może. Nie z atmosfery genewskiej wyłoniła się myśl S. D. N., która jest zanadto uniwersalną, by wpływy lokalne mogły jej nadać swoje piętno. Większą rację mają ci, którzy przypisują to wpływom masońskim i żydowskim.

Czyż mężowie stanu i narody katolickie nie będą się przez to widziały zmuszone pobudzić swą pracę jeszcze więcej, by przewyższyć ich wpływy. Katolicyzm jest w stosunku do S. D. N. w tej samej sytuacji jak Niemcy do narodu niemieckiego. Nakazem tak dla niej jak dla nich ma być: nie wstrzymanie — lecz praca.

O. Munnynck, rektor uniwersytetu w Fryburgu w Szwajcarji, miał sposobność obserwować blizko S. D. N. Jakaż tego konkluzja? Oto ta, którą wygłosił O. Munnynck na odczycie w Warszawie: jest obowiązkiem katolików współpracować z S. D. N. Współpraca ta jest następstwem logicznem solidarności nadnaturalnej, istniejącej między wszystkimi ludźmi.

Nie wszyscy może o tem wiedzą, że stanowisko Watykanu w sprawie S. D. N. której sekretarz generalny, Sir Eric Drummond, jest do tego katolikiem, nie jest negatywne. Nie jest z pewnością pochwały godnym fakt, że S. D. N. aż do tego czasu ignorowała Stolicę Świętą: konsekwencja to pośrednia ugody Londyńskiej r 1915 r., w której alianci przyrzekli Włochom, nie dopuścić Watykanu do pertraktacyj pokojowych. W razie przeciwnym, gdyby Austrja, Węgry i Niemcy były zwyciężyły w wojnie światowej, byłyby z radością się zgodziły na współudział Watykanu.

Z innej strony, sfery katolickie rządzące są zdania, że Stolica Święta nie ma tytułu, by zostać członkiem S. D. N., gdyż jakie mogą zachodzić stosunki między Głową Kościoła katolickiego, a licznemi kwestjami ekonomicznemi i innemi, któremi S. D. N. ma się zajmować.

Zresztą, teraz właśnie pracują nad tem, aby zawiązać jakieś stosunki dyplomatyczne między S. D. N. a Watykanem. Katolicy angielscy z kardynałem Bourne na czele pracują w tym kierunku.

Istnieje pewne podobieństwo interesu między Kościołem katolickim i Reich'em w kwestji tak zwanej „mniejszości narodowej". Znaczna część przestrzeni oodanych innym państwom, z racji traktatów pokojowych z 1919 roku jest zamieszkała przez katolików. Aby ich zdenacjonalizować, państwa zwycięskie atakują najpierw Kościół i szkołę. W tym wypadku więc Stolica Święta miałaby interes, by zwiększyć kontrolę nad S. D. N., jak do teraz bardzo leniwą.

Przykład hr. Apponyi'ego, węgierskiego męża stanu, przemawiającego we wrześniu w Genewie, wykazuje, że tego rodzaju interwencje, o ile energja i szczerość łączą się z miarą i taktem, mogą dać bardzo dobre wyniki, co więcej zwiększyć znaczenie i przysłużyć się interesom narodu, którego się broni.

—o—

Z PSYCHOLOGJI ŻYCIA CHRZEŚCIJAŃSKIEGO: RZECZYWISTY ŚWIĘTY ALOJZY.

Z radością przyjąć należy wiadomość, że dwóchsetletnia rocznica kanonizacji św. Alojzego obchodzić się ma niezwykle uroczyście. Część materjalną do tego obchodu łatwo sobie zapewnić,

natomiast część wewnętrzną, duchową, nie tak łatwo, polega ona bowiem nie na czemś mniejszem, jak tylko na wybitnym wzroście nabożeństwa do Swiętego. Tymczasem nabożeństwa nie można nikomu nakazać, wzrost prawdziwej pobożności w Kościele objawia się przez odzew serca ludzkiego na działanie Ducha świętego. To jest jasnem dzisiaj tak, jak było jasnem kiedykolwiek w owych czasach, które nazywają „wiekami wiary".

Najlepszą może drogą do wytworzenia pragnienia, jest doprowadzenie do uznania potrzeby. Otóż ja utrzymuję, że ta potrzeba ideału, takiego, jaki podaje św. Alojzy, jest dzisiaj rzeczywiście niezmiernie wielką, zwłaszcza wśród młodzieży.

W całej Europie, a nawet w całym świecie, napotykamy dzisiaj na przejawy niestałości. Wojna nauczyła nas myślec całemi narodami, lecz sądzę że niestałość można znaleść przedewszystkiem w pojedynczych dzisiejszych mężczyznach i kobietach, i że wojna bezwątpienia na nowo wstrząsnęła chwiejną równowagą ludzką, jednak nie stworzyła chwiejności, o której mówimy, wyjawiła ją raczej, aniżeli podkreśliła. Pewien lekarz, nie katolik, powiedział do mnie w wojskowym szpitalu, przed trzema mniej więcej laty; „Ci ludzie nie mają się lepiej, i mieć się nie mogą". „Dlaczego?" spytałem. „Ponieważ — odrzekł on — nie mają celu życia. A nie mogą go mieć, bo nie mają żadnych zasad życiowych. Przed wojną mieli swój fach, lub byli zanadto młodymi, by go już mieć. Teraz, wojna zburzyła gmach ich istnienia, w obrębie którego żyli, nie dokonując w rzeczywistości nigdy wyboru, albo też tego gmachu niemieli, gdyż byli za młodymi. Obecnie nie wiedzą, jaki wybór uczynić, nie mają nawet żadnego upodobania, większego do jednego zajęcia, niż do drugiego, z wyjątkiem tego, że jak wszyscy ludzie, by mieć wygody. A tych właśnie mieć nie mogą. I to jest przyczyna, dla której nie może ich zdrowie się polepszać". „No więc dlaczego nie dajecie im zasad?" odrzekłem. „Ba — odpowiedział — bo ich sami nie nabyliśmy. To wy właśnie powinniście przyjść nam z pomocą". Utrzymuje, że rzeczywiście na wielką skalę rozszerzyło się to zniszczenie zasad, wśród różnych klas europejskiego społeczeństwa; a gdzie znikną zasady rozumowe, tam zniknąć muszą wszystkie potężne motywy działania. Wtedy nie zostanie nic, jak tylko instynkt. Łecz instynkt jest indywidualistyczny i ślepy. Stąd chaos.

Zauważmy, jak wszystko, co się przyczynia do utrwalenia zasad życiowych, już od dłuższego czasu podupada. W reformacji odrzucono kolejno wszystkie zasady, mające związek z powagą władzy — najpierw papież, potem sobór, potem kościół, potem biblja, aż wreszcie zapanowało wrażenie subjektywne, którego wraże echo odbiło się w kościele samym w postaci modernizmu. Uczucie osobiste wyniesiono do godności powszechnego sprawdzianu. Dążność tę podniecano tysiącznemi sposobami. Kant i wszelka filozofja, która od niego poszła, Darwin i rozmaite formy wierzeń w ewolucję człowieka, która nie ma żadnego związku z Bogiem, religja porównawcza, i systemy, które tłumaczą pochodzenie idej religijnych w taki sposób, że się je pozbawia wszelkiej powagi, pragmatyzm, który otwarcie porzucał wszelkie poszukiwanie za prawdą, wreszcie, by nie znudzić wyliczaniem, psychologja freudowska wymierzyła najstraszliwszy cios całej Europie i Ameryce, nietylko opiewaniem wartości instynktu, ale nadto rozpuszczając wodze temu instynktowi, który szczególnie trudno okiełznać i przyrównaniem wszelkiej kontroli nad instynktami do „represji“. Stąd generacja po generacji, wychowana w coraz to mniej duchowych zasadach, pędziła po fali wypadków, aż wojna rzuciła je w burzę światową, w której wszystko, co stało dotychczas jako tako z braku wstrząśnienia, runęło, a to, co poruszało się tylko na mocy dawniej nabytego pędu, teraz rozprysło się na wszystkie strony, nie wykazując ani podobieństwa do biegu, skierowanego ku jakiemuś celowi.

Zatrzymywałem się tak długo nad temi ogólnemi uwagami, gdyż pragniemy nasze wzywanie do odnowionego nabożeństwa ku św. Alojzemu ugruntować na silnej podstawie potrzeby. Jeżeli uczujemy potrzebę tego nabożeństwa, zapragniemy go może. A to czego pragniemy mądrze i poważnie, otrzymamy.

Jest rzeczą bezwarunkowo jasną, że szczególną naszą potrzebą to „zasada“ i „cel“. Nikt chyba nie wątpi, że najlepiej przedstawić je można młodemu człowiekowi — wcielone pod postacią istoty ludzkiej, takiej, jak on sam istoty ludzkiej. Czy to mądrze wybrać tu św. Alojzego? Czy on jest odpowiednią istotą, by go do tego użyć? Czy jego życie może dopomóc do uszlachetnienia i urządzenia należytego życia dzisiejszych młodych ludzi?.

Mówiąc tylko jako Anglik, muszę wyznać, że napotyka się na wielkie trudności, gdy się chce w ponętnej postaci przedsta-

wić św. Alojzego naszej młodzieży. My ludzie północy jesteśmy ostro ni w okazywaniu swych uczuć na zewnątrz. Nie lubimy całkiem gestykulacji, w rzeczach zaś dotyczących religji tembardziej jesteśmy zamkniętymi. Toteż obrazy tego świętego i rodzaj sztuki, która koło niego się wytworzyła, nie przemawia do naszej wyobraźni. Zresztą przypuszczam, że niektóre sposoby wyrażania się są szczególnie ulubione przez pewnego rodzaju artystów. Łatwo naprzykład przypuszczać, że zwieszona głowa i spuszczone na dół oczy wyrażają pokorę, ręce na piersiach złożone żarliwość, oczy wzniesione ku niebu święty wstręt ku ziemi. Lecz właśnie anglik, człowiek północy, wolałby raczej umrzeć, niż takie postawy przybierać. Istnieją znowu pewne cechy charakterystyczne, które wogóle trudno w sztuce przedstawić i chyba jakiś genjusz mógłby się o to pokusić, jak naprzykład siła charakteru. Nadto, może pod wpływem francuskim, wszedł w modę pewien kult „pięknego“ świętego — widzieliśmy obrazki św. Alojzego blondyna, gdy tymczasem był on brunetem — młodzieńca tęgiego i różowego, podczas gdy on był chudy, blady, o linjach ostrych, będących śladami ciężkich przeżyć — a to wszystko połączone z pozami pełnemi słabości i melancholji, podczas gdy jeżeli istniał kiedy młodzieniec zbudowany ze stali, to był nim św. Alojzy, i jeżeli kiedy krew była ogniem, to była nią u niego. Musimy tedy wyznać, że cała sztuka, która zajmuje się Swiętym, gra na fałszywych uczuciach.

Dodać do tego trzeba i to, że żywoty Swiętego, często pisane są w stylu nam obcym. Nadzwyczajną doskonałość św. Alojzego przedstawiają one w sposób, który dzisiejszemu młodemu człowiekowi wydawać się musi zanadto negatywny. Wydaje się, jakoby ta doskonałość zasadzała się raczej na rzeczach, których św. Alojzy nie chciałby czynić, niż na tych, które czynił. Czytamy, że św. Alojzy nie chciał jeść — że nie chciał spoglądać na twarz swej matki — że nie chciał zdejmować pończoch wobec swego służącego. Nie chciał grać w żadne gry, nie chciał tańczyć, nie chciał nosić sukien jasnego koloru. A nawet jego życie religijne opisuje się w wyrazach negatywnych. Słyszymy głównie o jego zaparciu się, a nawet jego czystość przedstawia się jakby zamarzłą, a nie biało-gorącą. Nie twierdzę, że takie wnioski można słusznie wyciągnąć z zywotów Swiętego nawet starszych, lecz nie ulega wątpliwości, że to wrażenie odniosła

młodzież z wielu krajów, które zwiedzałem, i trzeba przyznać otwarcie, nie lubią oni św. Alojzego. Nie chodzi tu u nich o odnowienie nabożeństwa do Swiętego, lecz na pierwszem miejscu o usunięcie bardzo rzeczywistych uprzedzeń. Spodziewam się, że dosyć już o tem powiedziałem, lecz mógłbym jeszcze silniej i więcej o tem mówić.

Otóż my w Anglji zamierzamy szukać tych właściwości św. Alojzego, które pokazują, że był on człowiekiem o zasadach pozytywnych, o postanowieniach silnych, o opanowaniu siebie nie na podstawie bojaźni, albo tylko negatywnie, lecz z tym jasnym celem, by stać się pewnego rodzaju człowiekiem, takim, jakim, jak sądził, Bóg chce, by się stał. Niezwykła książka: „Paroles d'un Revenant" (słowa nawróconego) przez Jakóba d'Aroux, (1925), stale nasuwała mi myśli o św. Alojzym. Mimo młodzieńczych skłonności — wówi ten oficer — do gwałtownych rozproszeń, szalonych rozrywek i lenistwa, miał jednak bardzo wcześnie zaciekawienie odnośnie do tajemnic woli. Zwroty takie jak „dzika energja", „nadludzka wytrwałość", robiły na niego wrażenie w książkach, które czytał, jakby jakieś heroiczne uderzenia. W kawalerji, piechocie, w oddziałach lotniczych Francji, „znalazł tylko niewielu towarzyszy broni, którzy byli żywem wcieleniem cnót, które go ścigały". Pożądał tylko tego, by wlały w niego swe „natężenie istnienia". Tajemnica woli bożej dała mu to, o co się tak modlił — lecz tylko w formie postaci przerażających cierpień; przebył sześćdziesiąt miesięcy w szpitalu, gdy go postrzelono na polu walki, poraniono po całem ciele i uległ porażeniu paralitycznemu. Szukając woli bożej, nietylko uczynił ofiarę z woli swej własnej, lecz wzmacniał ją tysiącami sposobów. Wlewał życie w swe członki nerw po nerwie, mięsień po mięśniu, metodą naukową, nigdy nie tracąc nadzieji. Co do zmęczenia, to nawet nie chciał o niem mówić. „Zmęczenie! Ilez razy nie ochłostałeś biczem z pomyślnym wynikiem chytre osłabienia tego dzikiego kota? Bicz! Napowrót do bicza!" Działa cuda ze swemi nerwami, ze swemi myślami, ze swą wolą; lecz na końcu stało się jasnem, że nie może być naprawdę uleczonym. A to właśnie była chwila, gdy przez rozmyślanie nad męką Chrystusa otrzymał całkowicie władanie duchowe nad sobą. Zdawało się, że prorocy i Męka Chrystusowa tkwią w samym rdzeniu jego duszy.

Tak, tak, tu mamy nowoczesny przykład św. Alojzego. „Re-

prends la cravache! Weż się nanowo do bicza!" Któż po tem wszystkiem będzie czynił zarzuty umartwieniom św. Alojzego? Któż nie zdoła zrozumieć stanu umysłu, których one są symbolem? „Natężenie istnienia" — „nadludzka wytrwałość", wola, by być czemś — czemś, co widzimy przed sobą jasno i za czem biegniemy uporczywie, i czego szukamy z zupełnem poddaniem woli ludzkiej woli bożej — nie z wykluczeniem woli ludzkiej, lecz z jej poddaniem, którego skutkiem jest współdziałanie. Nie mam zuchwałego zamiaru rozwijać tych myśli, inni uczynią to lepiej. Lecz mam przekonanie, że ludzi naszego wieku trzeba całkiem na nowo uczyć, czem są rzeczywiście zasady chrześcijańskie, i że wola dzisiejszych ludzi potrzebuje ją, by wychować na nowo — prawie na nowo stworzyć i że potrzebują oni widzieć zasadę i cel wcielone, a św. Alojzego, tego twardego, stalowego Swiętego, można przed nimi stawić jako ich heroiczny model.

America.

—o—

OGÓLNE ZEBRANIE KONFEDERACJI KOBIET KATOLICKICH W PRADZE.

Ogólne, roczne zebranie federacji związków kobiet katolickich w Czechosłowacji, odbyło się 28 lutego b. r. pod przewodnictwem arcypiskupa Kordac i ks. Srameka, ministra poczt i telegrafów.

Zebranie to rozpoczęło się mszą św. w kościele św. Henryka, celebrowaną przez księdza Zavorala, infułata premonstratenzów. Po mszy św. delegaci związków udali się do sali konferencyjnej partji ludowej. Prezydentka federacji pani Klinger, po powitaniu obecnych dygnitarzy i delegatów przystąpiła do odczytania różnych raportów. Następnie ks. dr. Cihak, profesor uniwersytetu i kierownik duchowy federacji, mówił o potrzebie zmiany statutów. Dotychczasowa bowiem czynność federacji ograniczała się i to z powodu statutów — do zajęć natury duchowej i czynów miłosierdzia. Dr. Cihak przedstawiwszy niedogodności stąd wypływające, przedłożył plan nowego statutu, który przewiduje czynność kobiety katolickiej w życiu rodzinnem, w kształceniu dzieci, w uczynkach miłosiernych i w kwestjach polityki socjalnej.

Zebranie to jednak przez obecność ks. arcybiskupa Kordaca i ks. Srameka i przez słowa przez nich wypowiedziane, nabrało szczególnego znaczenia. Ks. Sramek, mówiąc o prawach i obowiązkach kobiety, zwrócił się z wezwaniem do wszystkich kobiet w Czechosłowacji, w którem powiada: „kobiety, które otrzymały prawa socjalne i polityczne, powinny dobrze o tem pamiętać, że należy stale brać udział w szeregach walczących o triumf cywilizacji chrześciańskiej i naszego kraju.

Historja narodu czeskiego przekazuje nam imiona kobiet wybitnie energicznych, np. z epoki jeszcze pogańskiej, jak Libuszy, założycielki

dynastji praskiej. W dobie chrześcijańskiej znajdujemy imiona członków domu panującego Przemyślidów, księżniczek-męczenniczek, św. Ludmiły i błogosławionych Milady i Agnieszki. Niestety, bohaterskie te kobiety nie są dostatecznie ani znane ani uznane, jakby na to zasługiwały. I tu powinna się rozpocząć rola organizacyjna kobiety: praca nad rozszerzaniem znajomości naszej historji, by postępowanie nasze zgadzało się ze wskazaniami, które ona nam daje. Dużo nam jeszcze pozostaje do zrobienia aby katolicyzm odżył. Musimy pamiętać i nigdy nie stracić z oczu, że w Republice jest dużo kobiet bezwyznaniowych, i myśl ta jest nam niezmiernie przykra. Przebyliśmy już na szczęście epokę krytycyzmu, lecz katolicyzm bierny i spokojny nie powinien nam wystarczać.

„Gdyście się panie zorganizowały, okazałyście chęć współdziałania z mężczyznami i młodzieżą katolicką. Odczułyście, że kobieta katolicka musi szybko działać! Czyńcie tak i bądźcie apostołkami: proszę was o to w imieniu całego narodu i dla jego uchrystjanizowania. Okażcie się silnemi na polu waszej działalności i pokażcie, że wiosna pracy niewiasty katolickiej zaczyna się z zapałem pełnym wiary".

Na popołudniowem posiedzeniu ks. arcybiskup Kordac wygłosił wspaniały wykład: o różnicy idei pogańskiej a chrześcijańskiej, o ewolucji filozoficznej w czasach obecnych. Wskazawszy najpierw miejsce, które kobieta i młoda dziewczyna zajmują w teraźniejszem towarzystwie, — mówi z naciskiem: „Podczas gdy przeciwnicy chrześcijanizmu mają za cel odchrystjanizowanie rodziny, szkoły i zniesienie własności prywatnej, kobiety katolickie, którym Bóg polecił wychowanie dzieci i rodziny, winny dzielnie bronić tego wychowania. Ani episkopat, ani posłowie parlamentu, nie potrafią znieść szkół bezwyznaniowych. Mężczyźni tworzą prawa, lecz kobiety tworzą obyczaje".

Z tego powodu, ks. arcybiskup Kordac poleca kobietom katolickim stworzyć apostolat świecki, ożywiony wielkodusznemi zamierzeniami, których podstawą powinna być modlitwa.

Wśród innych mowców zabierających głos, wymieńmy Dr. Karasia, senatora, który rozwijał temat o czynności kobiety katolickiej w życiu pulicznem; panią Dlouha, o organizacji kobiet katolickich we Francji, panią Schmutzer, dyrektorkę wyższej szkoły elementarnej w Pradze: o uświęceniu i uchrystjanizowaniu indywidualnem; panią Smahową: o czynności organizacyjnej i politycznej kobiety katolickiej.

W końcu postanowiono zwiększyć ważność przeglądu związku, którego tytuł jest zawsze: „Kobieta czechosłowacka" przez wezwanie do współpracy najwybitniejszych osobistości świata katolickiego i przez rozszerzanie z wielką starannością.

—o—

DZIECI ĆWICZONE W PRAKTYKACH MEDJUMISTYCZNYCH. Nowe katolickie stowarzyszenie rozpoczęło walkę, przeciw spirytyzmowi, która znalazła uznanie znaczniejszej części angielskiej hierarchji kościelnej.

Poraz to pierwszy podjęto zorganizowany atak przeciw spirytyzmowi i to dlatego, że począł się on rozszerzać w tym kraju w zatrważający sposób.

Katolicka krucjata przeciw spirytyzmowi — tak brzmi nazwa tego nowego towarzystwa — stwierdza w oświadczeniu, ogłoszonem przez mr. Karola H. Rouse, sekretarza towarzystwa, że spirytyzm przechwala się posiadaniem 16,000.000 zwolenników wśród ludności, mówiącej po angielsku. To samo stowarzyszenie stwierdza, że w samej Anglji 1700 dzieci zaprawia się w szkołach niedzielnych i liceach do medjumizmu.

Zmarły biskup z Silfoodu powiedział, że spirytyzm powoduje poważne szczerby wśród katolików.

O. A. V. Miller ogłosił w wydanem drukiem kazaniu, że spirytyzm jest religją, która wypowiedziała wojnę chrześcijańskiemu kościołowi: „Jest to najpodstępniejszy i najbardziej szatański atak, skierowany przeciw prawdziwej religji. Celem jego jest zniszczenie gałęzi i korzeni chrześcijaństwa... a drogę ku temu toruje sobie poprzez zupełne zniszczenie moralności chrześcijańskiej“.

Krucjata zamierza drogą odczytów przedstawić niebezpieczeństwa, wynikające z wykonywania tych praktyk.

Kardynał arcybiskup z Westminsteru użyczył poparcia krucjacie, a to samo uczynili arcybiskup z Liverpool i Cardiff, oraz biskupi z Brentwood, Northampton, Nottigham, Middlesbrough, Plymouth, Solford, Shrewsbury i Southwark. Mr. Rouse oświadcza, że krucjata nie przeciwstawia naukowym badaniom takich zjawisk psychologicznych, które mogą znaleść naturalne wytłumaczenie, lecz że występuje przeciw czarnoksięstwu spirytystycznemu i nowej „religji“, którą on głosi. *Universe.*

SŁOWA KARDYNAŁA O RADJOFONJI. „La Semaine religieuse“, pismo arcybiskupa paryskiego, ks. kardynała Dubois ogłasza następujące uwagi Kardynała o radjofonji:

„Radjofonja jest zdumiewającym wynalazkiem. Zrodzona wczoraj, przeniknęła już do naszych obyczajów. Dzięki jej, słowo mówione nie uznaje już przeszkód tworzonych przez przestrzeń. W ciągu jednej chwili rozbrzmiewa ono w nieskończonych oddaleniach.

Narzędzie postępu: tak, oczywiście, a stwierdza ono może bardziej niż wszystkie inne genjalność ludzkiego umysłu. Cześć tym, którzy je wynaleźli, lecz jaka sprawiedliwość spada na tych, którzy z niego korzystają.

Niech się mają na baczności! Ten twór genjalny może służyć równocześnie dobru i złu. Ośrodki, z których wypływają tajemnicze fale, mogą dowolnie stać się ogniskiem prawdy, lub błędu, cnoty i zepsucia, zaprzeczeniem moralności i grzesznej przyjemności. Mogą więc one poprzez cały świat szerzyć dzieło życia lub śmierci. Mogą służyć szlachetnym sprawom, lub współpracować — i to jak potężnie — nad nieładem społecznym, fałszować umysły i psuć serca.

Zdaje się, że w upojeniu pierwszych triumfów traci się z oczu te ważne względy. Przypomnienie ich w imieniu wiary i moralności jest naszym obowiązkiem.

Spełniamy go pouczeni już przez smutne doświadczenia, doszło bowiem do nas kilka skarg, niestety uzasadnionych.

Bezwątpienia publiczność, która jest bardzo różnorodna, wchodzi w łączność z ośrodkami radjofonicznemi. Trzeba starać się zadowolnić wszystkich słuchaczów, a nikogo nie urazić Jest to kwestja delikatności, taktu, umiaru.

Ale bywają słowa, mówione lub śpiewane, które urażają każde uczciwe sumienie. Należy je wykluczyć z programów. Trzeba odpędzać te tysiączne rzesze słuchaczów, przez sumienność, przez proste poczucie honoru, które tak łatwo można urazić, zgorszyć danem pismem, opowiadaniem, wykładem, daną piosenką, która nagle zamąci spokój ich domowego wnętrza, wstrząśnie ich wierzeniami, lub też wzbudzi niezdrową wrażliwość przez niespodziane ujawnienie występku.

Niebezpieczeństwo jest tem większe, że w tym olbrzymim tłumie, rozsianym wszędzie, znajduje się mnóstwo dzieci, młodzieży, młodych dziewcząt, a te posłannictwa błędu i niemoralności mącą ich niewinność.

Zmiłujmy się! Nie kalajmy dzieł Boskich. A jest to kalanie, jeżeli się używa tajemniczych sił natury dla osłabienia sił moralnych i sił religijnych ludzkości.

W stacjach nadawczych powinna istnieć prawomyślność skrupulatna w układaniu programów, a w stacjach odbiorczych winna panować baczna czujność, gotowa przerwać natychmiast niebezpieczną audycję, a jeżeli tego zajdzie potrzeba, gotowa wysłuchać słusznych protestów.

Szanujmy sumienia. Szanujmy prawa cnoty i prawdy“.

La Vie Catholique.

OSTATECZNE SPACZENIE POSTACI JOANNY D'ARC.

„O Panie, któryś stworzył tę przepiękną ziemię, kiedyż ona gotowa będzie na przyjęcie Twych świętych? Kiedyż o Panie, kiedy?” Takim ostatecznym okrzykiem kończy ten rozwydrzony humorysta Bernard Shaw swoją „Świętą Joannę”, kronikę udramatyzowaną o czterech aktach i epilogu, wystawioną pierwszy raz w Nowym Yorku w r. 1923, a obecnie w Rzymie i to, jak powiadają sprawozdania, z dużem powodzeniem. Chcemy rozważyć to nowe dzieło, choć nie jesteśmy krytykami zawodowymi, w świetle zdrowego rozsądku, jeszcze nie uśmierconego przez obecną naukę, wydaje nam się, że mamy do tego prawo i że wypełniamy obowiązek, czy to dlatego, że formalnym zamiarem autora było dać nam prawdziwą *Świętą Joannę*, czy to dlatego, że dzieło zyskało szerokie uznanie także u wielu katolików, i wywołało u niektórych z pośród nich zarzuty, refleksje i przekonania, które są, jasno to widzimy, dalekie od prawdy.

Jak wiadomo, nie miała św. Joanna szczęśliwej literatury. Oszczerstwo prześladowało ją także i po spaleniu na stosie, po którem gniew nieprzyjaciół już trwać nie powinien. Stąd i w tym sensie przytoczone słowa Shaw'a są głęboko prawdziwe, choć pisząc je, nie myślał z pewnością, że okrzyk ten w ustach jego bohaterki, stosuje się także dokładnie i do niego.

Zamiary i intencje, ideologje i środki sztuki sławnego i niemającego żadnych przesądów pisarza irlandzkiego, są tak jasne, że nie potrzeba żadnego wysiłku, by ich dosięgnąć; wystarczy przebiegnąć dramat, a kto chce i ma odwagę, także i ośmdziesiąt dwie, powtarzam ośmdziesiąt dwie i pół strony wstępu, w których gorący polemista daje folgę swemu nieokiełznanemu humorowi, zajmując się wielu rzeczami, zbyt wielu rzeczami, używając paradoksów błyskotliwych i drażliwych, nie rzadko sofizmatów, ale wypowiadając także z otwartą przyłbicą pewne prawdy, które ludziom przekpiwającym pewne okresy historji, wydarzenia i urządzenia chrześcijańskie, mogą zostawić silny, przenikliwy posmak.

Wyrażając w polemice z jednym ze swych krytyków własne zdanie o Joannie d'Arc, czyni Shaw uwagę, że po rehabilitacji dokonanej przez Quicherat'a, który opublikował proces Świętej, niema już miejsca na poglądy gdyż fakta są bardzo proste. Następnie mówi:

„Pogląd antifeministyczny nie chciał uznać Joanny za genjusza politycznego i wojskowego, pomimo jej kampanji nad Loirą, i jej polityki, która doprowadziła do koronacji, rzeczy któreby wsławiły każdego awanturnika płci męskiej. Antiklerykalizm i protestanci nie chcieli przypuścić, że jej proces mógł być uczciwym, a jej potępienie nieuchronnem. Romantycy koniecznie chcieli z niej uczynić heroinę melodramatu o uderzającej piękności. Imię Szekspira jest związane z udramatyzowaniem Joanny jako czarownicy i kobiety złych obyczajów, Wolter uczynił z niej bohaterkę, narwaną i skandalicznie wyuzdaną, Sziller przedstawił ją jako zakochana w Dunois, Anatole France zaś, rozczulał się nad nią jako nad marjonetką w rękach żołnierzy i księży. Nie pozostało nic z tego, co było naprawdę Joanną d'Arc”.

Po tych słowach moglibyśmy więc mieć wszelkie prawo domagania się od Shaw'a autentycznej Joanny, tymczasem ze smutkiem musimy przyznać,

że doznaliśmy zawodu. To też chociaż wyrażamy mu wdzięczność za to, że w przeciwieństwie do swych poprzedników zrobił z niej dziewczę zupełnie czyste oraz za chwalebny zamiar gloryfikacji Świętej, (nazywa on czyn Kościoła kanonizującego ją gestem „wspaniale katolickim") jak też i za to, że nie przemilczał uczciwej obrony prawdy, musimy jednak wyznać, że jego spaczenie Świętej, najnowsze, jest głębsze i radykalniejsze od poprzednich. Jego poprzednicy to biedni romantycy, którzy nam dają Joannę melodramatyczną — jeśli w brukowy sposób nie opluwają błotem i nie obrzucają wyzwiskami tej bohaterskiej i świetlanej postaci, której przecież ich marnota nie może dosięgnąć. Komedjopisarz z Dublinu, który wywyższa Świętą, ale na to, by jej świętość zamknąć w ramach czysto ludzkich, który przewraca i odwraca całą historję Dziewicy Orleańskiej, robiąc z niej buntownika i heretyczkę nieświadomą, sprawiedliwą ofiarę Kościoła, by móc w imieniu parodoksów rozgrzeszyć jedno i drugie, pisze dzieło najradykalniej wypaczające i najsubtelniej podstępne, które może wśród ogółu ludzi wywrzeć wielkie wrażenie, także dlatego, że przedstawia swoje ideę w formie przykuwającej uwagę, humorystycznej i spokojnej, którą widzi się naprzykład także w czysto racjonalistycznej i modernistycznej teorji cudu, bez cienia związku wewnętrznego i poszanowania, nawet w ustach samego arcybiskupa z Reims.

Już z tych krótkich uwag wynika jasno, jak w tym dramacie Shaw'a o Joannie d'Arc góruje element polemiczny: pisarz chciał wykazać pewną tezę, wydać walkę, dać nam wizję, interpretację osobistą, oryginalną okresu historycznego, w którym ukazała się Dziewica, nowy cud, żyła, walczyła, triumfowała, ale niezrozumiana przez niedołęgów i ślepych, ofiara głupoty, podłości i zazdrości, została skazana na śmierć w płomieniach jako heretyczka i czarownica i ze stosu wzniosła się bohatersko piękna i wielka w przestworze nieśmiertelności. Shaw, paradoksalny polemista, który zbyt często jest sofistą, nie uznaje tego powszechnego ujęcia rzeczy. Dla niego zarówno Joanna jak jej nieprzyjaciele mieli słuszne prawo, by mieć swe własne zdanie. „W procesie, który wysłał świętą na stos — mówi brat Marcin Ladvenu — mówiono prawdę, uszanowano prawdę, okazano miłosierdzie bardziej niż zazwyczaj; nie uczyniono niczego złośliwego, z wyjątkiem błędu ostatecznego i przerażającego wyroku i okrutnego ognia". Piotr Cauchon, osławiony biskup z Beauvais, nie jest owym niegodnym kapłanem, narzędziem polityki angielskiej, ale poprostu autentycznym przedstawicielem Kościoła, który był uderzająco ludzkim i sprawiedliwym, dzisiejsze sądy nie byłyby od niego lepsze. Takim jak on, był mniej więcej cały trybunał sądzący.

Shaw biorąc wprost w obronę święte Oficjum w wiekach średnich, tak każe mówić Inkwizytorowi: „Heretyk w rękach św. Oficjum strzeżony jest przed gwałtem, pewny jest prawnego procesu, i nie może być skazanym na śmierć, nawet gdy jest winny, jeżeli po winie następuje żal. Niezliczone życia heretyków zostały uratowane dlatego, że Oficjum św. wyrwało je z rąk ludu, i dlatego, że lud je oddał, wiedząc, że św. Oficjum zbada sprawę. Zanim święta Inkwizycja zaczęła istnieć, a nawet dziś, jeśli jej urzędnicy nie przybędą na czas, nieszczęśnik podejrzany o herezję zostaje albo całkiem niesprawiedliwie ukamieniowany, pokrajany na kawałki, spalony we własnym

domu wraz z dziećmi niewinnemi, bez procesu, bez spowiedzi, bez pogrzebu, chyba takiego, który się i psu daje"...

We wstępie mnoży Shaw przykłady, cytując metody trybunałów wojskowych podczas wojny, ekscesy partyjne w czasach powojennych, układa porównania i obserwacje dosyć powiedzmy ostre, naprzykład ze sprawą Edith Cavell, której rozstrzelanie bez procesu uważa za rzecz w niczem nie ustępującą czasom Joanny. „Tysiące kobiet — pisze Shaw — zostało w ostatniem dziesięcioleciu zamordowanych, pozostawionych na śmierć głodową, wypędzonych z domu i kraju w płomieniach i td. a to wszystko w imieniu wypraw krzyżowych, dużo bardziej tyrańskich i pretensjonalnych, niż te z wieków średnich".

Nie idąc dalej za autorem, który w swych skokach umie jeszcze zmieścić nie jedną gorzką prawdę, i swoim dziwacznym sposobem broni nawet nieomylności Papieża, pytamy się, za cóż więc została Joanna skazaną? Jakaż jest głęboka przyczyna jej dramatu i jej śmierci na stosie?

Przyczyna jest bardzo prosta. Joanna jest młodem i niewinnem stworzeniem, wypędzonem przez dwie najwyższe potęgi, Kościół i Prawo, katolicyzm i feudalizm. Nie wiedząc czy jest posłana z góry z ponad Kościoła, nic sobie nie robiła z księży i książąt, powoływała się na Boga, nie myślała o niczem jak tylko o sobie i o królu; przedstawia natchnienie osobiste, niezależne, wolność protestu przeciw wszelkiej ingerencji kościelnej, pośredniczącej między człowiekiem prywatnym a Bogiem. Siostra duchowa Wiklifa i Husa, wyprzedziła Lutra i była nie wiedząc o tem protestantką, tak, jak pojmując w postaci króla naród uosobiony i zjednoczony i sięgający wszędzie tam gdzie mówi się tym samym językiem, wyprzedziła nacjonalizm, który według Shaw'a jest istotnościowo antikatolickim, tak, że dobry socjalista kładzie w usta biskupa z Beauvais następujące słowa: „Kościół katolicki uznaje jedno tylko królestwo, a tem jest Królestwo Chrystusa. Podzielcie to Królestwo na narody, a zdetronizujecie Chrystusa". I to było herezją, stąd wnioskuje książę Warwick: „Dobrze; jeśli wy chcecie spalić protestantkę, ja chcę spalić nacjonalistę". Dziewica Orleańska jest więc duchem, postępem, natchnieniem bożem, które się odbija od sił zachowawczych — Kościoła i feudalizmu.

Czy jest dokładną, pyta się krytyk, który należy do najwybitniejszych, taka interpretacja historyczna wielkiej postaci Joanny? I krytyk Adrjan Tilgher, powracając do swego zdania już wypowiedzianego o Joannie należącej do mistyków nacjonalizmu, mówi, że mu się to wydaje mniej pewnem. „Właściwie Joanna uważała za świętokradztwo wojnę między książętami chrześcijańskimi, którzy wszyscy władzę swoją od Boga otrzymują. Prawdziwym jej celem było przywrócenie króla Francji do jego dziedzictwa a odesłanie do swego króla angielskiego, następnie pogodzenie ich dla wysłania obu wraz z ich żołnierzami na jedyną prawowitą wojnę, wojnę przeciw niewiernym". Koncepcja jak widzimy uprzedzona przez św. Katarzynę sieneńską. Tilgher pisze dalej: „Historja Joanny jest raczej odżyciem legendy o *wyprawach krzyżowych* niż powstaniem legendy o *Ojczyźnie*, stała się ona *Świętą Ojczyzny* dopiero później. Jeśli ta interpretacja jest prawdziwa, Jo-

anna ma wszelkie prawo wejść w ramy prawowierności, a Kościół miał słuszność wynosząc ją na ołtarze".

Wypadało podnieść te słowa, bo choć ich w pełni nie przyjmujemy, pokazują nam jak pewne wielkie teorje dziś wypieszczone, jutro stają się pewnikami, wypowiadanemi z przekonaniem. W rzeczywistości ujęcie pisarza irlandzkiego w zasadniczych linjach jest tylko grubo sztucznym tworem. Dla nas sąd Kościoła jest sądem nieomylnym, który pomimo szumnych twierdzeń Shaw'a byłby sam sobie sprzecznym, gdyby kanonizował tę, którą Piotr Cauchon jako heretyczkę potępił, jeśli by on naprawdę przedstawiał Kościół, jak myśli Shaw, a nie gdyby był tylko przedstawicielem lokalnego trybunału, nie mówiąc już nic o jego prawnorządności — której nadużył dla celów politycznych własnej władzy.

Niemożliwem tu jest odtworzyć historję Joanny i jej procesu, a z drugiej strony nie jest potrzebnem, dlatego że jest zbyt znaną i dlatego, że wszelka próba robienia rewizji od początku jest poprostu głupstwem. Wystarczy krótkie streszczenie.

Jesteśmy na początku XV wieku. Schizma zachodnia rozdziela Kościół. Francja, która jest temu przedewszystkiem winna, staje się, za karę tej zbrodni, łupem Anglji. Anglja jest w wilję wybuchu protestantyzmu. W miarę jak podbój się rozszerza, arystokracja tak kościelna jak świecka się przemienia, wojska, które powstają, są angielskie z rasy czy z ducha. Jeśli podboju dokonają, Francja pójdzie za królem angielskim wszędzie, aż do herezji. Delfin niedołężny i nieczynny; jego stronnicy bez broni, bez grosza, bez odwagi, bezsilni i rozdzieleni, linja twierdz nad Loirą, ostatnia zapora tej resztki królestwa ze stolicą w Bourges, ma upaść. Wydaje się, że sprawa stracona. Delfin myśli o opuszczeniu jej i wyjeździe za granicę. Jest rok 1429. Dziewica ma około 18 lat. W rodzinnej wsi nad brzegiem Mozy, dosięgają jej echa wojny i mówią do niej *głosy* z nieba. Nie umie czytać, ale umie się modlić. Zostawia wrzeciono i laskę pasterską w swej pięknej Lotaryngji, bierze zbroję jak rycerz, wskakuje na siodło, wiarą swą przemienia delfina, książąt, tłumy, wznosi ku słońcu sztandar wojenny z lilją Francji, kreśli na nim imiona Jezusa i Marji, wypędza precz zniewagi Boga z pośród żołnierzy, stwarza wojsko złożone z bohaterów, uwalnia oblężone Orleans, przynosi odsiecz miastom wzdłuż Loiry, odnosi wspaniałe zwycięstwo w Patay, prowadzi delfina do Reims na konsekrację i czyni z niego Karola VII.

Tego wszystkiego — a są to sprawy godne Napoleona i Aleksandra — ona, pokorna dziewczyna dokonuje w przeciągu zaledwie kilku miesięcy, idąc jedynie za radą swych *głosów*. Gdyby ją byli rozumieli, byłoby bez wytchnienia poprowadziła króla do Paryża i uwolniła Francję.

Podłość, zazdrość, zdrada i złoto angielskie jej zapłaciło, podczas gdy król dokonał jej zguby. Oto jej proces, jeden z najgorszych procesów w historji. Ona w nim panuje nad wszystkimi, panuje nad swymi sędziami, swymi katami, ona, prosta i wielka, niezwyciężona i wspaniała, jak podczas bitwy. Odpowiedzi jej okazują światło z nieba. Samo jej wyrzeczenie jest tylko niegodnym podstępem, tak podłym, że on sam by wystarczył, by uczynić krzywdzącym każdy proces. Swój strój męski uprawiedliwia najszla-

chetniejszemi pobudkami. Jej nieprzyjaciele nie umieją jej oskarżyć bez tego, by się nie okazali podstępnymi lub śmiesznymi. Świadczy za nią sąd uniwersytetu, a ona żąda tylko sędziów odpowiednich i wolnych; oświadcza głośno, że jest oddaną córką Kościoła, z całą gorącością ducha ogłasza, że Kościół i Chrystus Pan są czemś jednem, odwołuje się wiele razy z sercem ściśnionem do Soboru i do Papieża rzymskiego, do naszego świętego Ojca.

Piotr Cauchon mówi jej... że Papież daleko i skazuje ją na śmierć na stosie za herezję, po pozwoleniu jej na przyjęcie Komunji św. Klęknąwszy na stosie, odnawia wiarę w swoje *głosy,* w swe powołanie jako misji od Boga, broni króla i jego praw, oświadcza, że Francja będzie uwolniona, przebacza krzywdy, które jej wyrządzono, prosi przyjaciół i nieprzyjaciół o uczynek miłosierny modlitwy, a kapłanów swych sędziów prosi, by każdy z nich odprawił Mszę św. za jej duszę. Wstępuje na stos, a ostatnim jej okrzykiem popośród płomieni jest okrzyk jej wiary i jej triumfów Jezu, Jezu, Jezu!

To jest Joanna historyczna, prawdziwa Joanna, jest piękna i wzniosła, godna być przedmiotem poezji i dramatu. Robić z niej buntownika, nieświadomą heretyczkę, a z jej sędziów robić niewinnych, by dla dramatu stworzyć nowe możności w nowej fatalności historycznej, może być rzeczą zwodniczo piękną, może podobać się ludziom lubiącym paradoksy, ale w rzeczywistości jest tylko marną sztuczką. Największym cudem Joanny jest ona sama. A zlitujmy się i porzućmy farsę o Gilles de Rais i jajach, które składają kury pana Baudricourt. Można być humorystą i sofistą, ale są granice, których nie wolno przekraczać nawet Jerzemu Bernardowi Shaw. I dobrze, jeśli ktoś zadawala się jego humorem a nie uważa go w dodatku za coś wzniosłego. (D. n.)

—o—

WSZECHŚWIAT W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH BADAŃ NAUKOWYCH.

Ogólny rzut oka.

Wśród wytężonej walki o byt, jaką teraz wszystkie prawie społeczeństwa cywilizowane wskutek trudności ekonomicznych, gospodarczych i społecznych muszą prowadzić, usiłowania nauki i jej pracowników zmierzać muszą przedewszystkiem do odkryć praktycznych, do wydarcia przyrodzie tych tajemnic, któreby człowiekowi ułatwić mogły wygodniejsze bytowanie na ziemi, któreby dały mu możność dalszego zaprzągnięcia w swą służbę tych nieprzebranych skarbów energji, jakie naokoło siebie znachodzimy. Człowiek nowożytny wiele już pod tym względem zdobył. Położył już swą rękę chciwą na tych zapasach energji, które przyroda żywa nagromadziła z promieni słońca w postaci węgla i nafty. Na rozkaz człowieka tak zwany biały węgiel, czyli siła wodna, obraca już, jak posłuszny niewolnik, tysiące i tysiące turbin, wykonujących pracę kilkudziesięciu miljonów koni bez przestanku. Także i wiatry, jak od dawien dawna, tak i dziś kręcą wachlarzami, mieląc, żnąc, a dziś nadto wytwarzając łącznie z maszynami elektrycznemi prąd elektryczny. Wszystko to jednak jest drobiazgiem wobec ginących bezużytecznie

dla człowieka nieprzebranych wprost ilości energji kosmicznej, pochodzącej bezustannie od słońca i innych ciał niebieskich.

Że tedy takie nauki jak fizyka, chemja i biologja, których odkrycia często mają ważne zastosowania praktyczne w przemyśle, hygjenie, rolnictwie, rozwijają się dziwnie szybko i zajmują sobą tysiące badaczy, jest rzeczą łatwo zrozumiałą. Ale co jest dziwne, to to, że w tych tak materjalnych czasach ogromnie wielu pracowników, zaopatrzonych w bogate urządzenia i przyrządy, siły swe umysłowe wytęża na usługach tej nauki, która nieobiecuje żadnych dla ludzkości korzyści materjalnych, a ta mała ilość zastosowań praktycznych, które z niej można wyciągnąć, już są dostatecznie zużytkowane. Nauką tą to astronomja, z jej siostrzaną nauką astrofizyką i wogóle fizyką nieba.

Ale bo też to nauka tak porywająca, tak z jednej strony bezpośrednia, bo ciagle nam swym przedmiotem się narzucająca, a z drugiej tak bardzo nęcąca umysł, który mimo wszelkich zboczeń i pokalań, rwie się nieprzeparcie ku nieskończoności, w której kiedyś utkwić musi. Zagadkowy, niedosięgniony firmament niebieski ze swemi ciągle zmieniającemi się, a mimo to po największej części stale powtarzającemi się przemianami, zależność praktyczna wszystkiego, co na ziemi, od tych przemian i zjawisk, olśniewająca piękność ciał niebieskich przy ich niesłychanej prostocie, wszystko to sprawiało i sprawia, że nawet najprostszy człowiek, na najniższym stopniu kultury się znajdujący, nawet człowiek nietylko z epoki kamiennej, lecz z epoki kinowej i erotyczno-półnagiej, musi wznieść oczy ku górze i przynajmniej czasami zastanowić się głębiej i poważniej spytać się: co to? po co to? skąd to?

Takie pytania zadawali sobie ludzie zawsze, jak dowodzą tego najdawniejsze zapiski kronik chińskich, babilońskich i egipskich. Wiemy naprzykład, że już w r. 2300 przed Chrystusem wydał cesarz chiński Yao dekret stojący w związku z tą tak zawiłą stosunkowo kwestją astronomiczną, jaką jest badanie czasu porównania dnia z nocą. Kronikarz chiński Shu Chung, żyjący za czasów Konfucjusza (550 — 478 przed Chr.), podaje nazwiska dwóch astronomów królewskich Hsi i Ho, którzy zostali na śmierć skazani za to, że nie wykonali przepisanych ceremonij z okazji zaćmienia słonecznego — a zaćmienie to odbyło się, jak obrachował w r. 1895 naszej ery astronom angielski S. E. Russell, w r. 2136 przed Chryst. Znali też chińczycy od niepamiętnych czasów południk, i czynili badania przy jego pomocy, oznaczali czas i regulowali go przy pomocy zegarów wodnych, znali też przyrządy cyrklowe.

Podobnie stwierdzili uczeni, że Egipcjanie już na trzy tysiące lat przed Chrystusem znali i badali liczne zjawiska astronomiczne, o czem zresztą świadczy kierunek, jaki nadawali piramidom. Najdawniejsze zaś zapiski babilońskie, dowodzące o zajmowaniu się zjawiskami nieba, sięgają króla Sargona z Akkad około r. 3800 przed Chrystusem. Jak gorliwie oddają się astronomji grecy od czasów najdawniejszych, o tem wiadomo powszechnie, a za ich przykładem nauka ta otoczona jest szczególnym szacunkiem u wszystkich społeczeństw cywilizowanych, wśród których nie ostatnie miejsce zajmuje Polska, ze swym synem Kopernikiem, jednem z największych świateł ludzkości na polu badań astronomicznych.

Chociaż jednak ludzkość, jak pamięć historji sięga, przez sześćdziesiąt z górą wieków zajmuje się astronomicznemi badaniami, to jednak przyznać trzeba, że to co na tem polu zbadano w latach ostatnich zwłaszcza zaś w ciągu kilku lat przed wojną i w parę lat po wojnie aż do obecnej chwili, jest czemś zupełnie niesłychanie zdumiewającem, epokowem. Różne na ten gwałtowny postęp astronomji złożyły się czynniki, tak czysto astronomiczne, jak i pochodzące od innych nauk. Najpierw więc wymienić należy interferometer Michelsona, ów przyrząd optyczny tak prosty, a mimo to należący pod względem czułości i dokładności do najdoskonalszych, jakie znają nauki doświadczalne. Prace wieloletnie Michelsona i Millera, dokonywane tym przyrządem, dały podstawy doświadczalne pod teorję względności Einsteina, która taki przewrót uczyniła w naszych poglądach przyrodniczo-filozoficznych. W ostatnich zaś paru latach takie same prace Millera, dokonane tym samym przyrządem Michelsona, lecz w warunkach o wiele doskonalszych, wstrząsnęły znowu pozornie teorją Einsteina, dając wyniki wręcz przeciwne do wyników dawniejszych. Nadmienić też trzeba, że Michelson zapomocą swego przyrządu dokonał pomiarów na niebie, które pomysłowością swą i rezultatami były przed dwoma laty pierwszorzędną senzacją na polu astronomji. Zmierzył on mianowicie bezpośrednio przekrój niektórych gwiazd stałych — a wiadomo, że gwiazdy te nawet w najsilniejszych teleskopach okazują się jako punkty, a więc twory nie mające szerokości, ani długości, pozbawione wymiarów.

Niezmierny wpływ na tok prac i badań astronomicznych wywarły też najnowsze teorje fizyczne i chemiczne, oparte na owych przewrotowych odkryciach promieniotwórczych własności materji. Te rzeczy, łącznie z teorją Einsteina i wynikającemi z niej wnioskami, dozwalają astronomom takim jak Eddington, Janes, Russel i innym wdzierać się w najgłębsze tajniki wszechświata, i ważyć się na stawianie teoryj, albo raczej domysłów, tyczących się sprawy powstania gwiazd i pochodzenia energji kosmicznej. Najważniejszym zaś instrumentem astronomicznym, który przełomowy wywarł wpływ na badanie doświadczalne ciał niebieskich, jak to poznamy później, był spektrograf, w połączeniu z przyrządem fotograficznym, urządzenie który służy do badania widm optycznych ciał niebieskich. A to właśnie badanie jest najważniejsze i najwdzięczniejsze w astrofizyce.

Postęp astronomji jest nadto jak dawniej, tak i dzisiaj, związany także nierozłącznie z teleskopem. Na tem polu nie wynaleziono, co prawda, nic istotnie nowego, ale zato buduje się po rozmaitych krajach z zapałem i ofiarnością wielkie obserwatorja i coraz nowsze i większe teleskopy, a nad wszystkiemi króluje ów potężny refraktor, zbudowany jeszcze przed wojną w obserwatorjum Mount Wilson, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, którego zwierciadło ma 210 cm. średnicy i który zmontowano w osobnym budynku, z uwzględnieniem jak najdalej idących udoskonaleń i ostrożności. Samo zwierciadło, osadzone na żelaznych podstawach, pływa w kadzi żelaznej, wypełnionej rtęcią, by uniknąć jakichkolwiek mechanicznych wstrząśnień, mogących przeszkadzać obserwacjom.

Jakie są problemy i zagadnienia, któremi się zajmuje ta tyle sławiona astronomja dzisiejsza, i do jakich doszła wyników? Na te pytania starać się

będziemy odpowiedzieć szczegółowo w szeregu artykułów, a teraz tylko ogólnie rzucimy okiem na to olbrzymie i z nieskończonością graniczące pole, które stoi otworem przed badaniami astronomicznemi, i wskażemy, jak daleko w pojedynczych kierunkach astronomja doszła.

Całą przestrzeń wszechświata dla nas widzialnego możemy podzielić na trzy, bardzo nierówne zakresy. Pierwszy z nich, nas najbliżej obchodzący, to nasz układ słoneczny, a więc słońce wraz z ośmioma wielkiemi planetami i ich satelitami czyli księżycami, z mnóstwem ciągle odkrywanych planet mniejszych, z kometami, które bądź to na pewien czas nasz system słoneczny nawiedzają, bądź krążą w jego polu, wreszcie meteory i pyły kosmiczne, jakoteż gazy, włóczące się po przestrzeniach międzyplanetarnych. Cały ten system słoneczny objąć by można kulą, której promień wynosi mniej więcej 5500 miljonów kilometrów. W astronomji, która ma do czynienia z cyframi o zawrotnej wielkości, używa się często dla uproszczenia innej jednostki mierniczej, gdy chodzi o oznaczanie odległości, mianowicie zamiast podawać odległość w miarach długości, jak np. w kilometrach lub milach, określamy je zapomocą czasu, którego potrzebuje światło na przebycie danej przestrzeni. Otóż światło, które w przeciągu roku przebywa, jak wiadomo, 300.000 kilometrów na sekundę, czyli około 40.000 mil geograficznych, potrzebuje na przebycie drogi od słońca do ziemi naszej 8 i pół minuty, a do krańców systemu słonecznego przeszło cztery godziny.

Poza systemem słonecznym rozciąga się drugi zakres wszechświata, mianowicie nasz układ gwiazdowy, czyli układ gwiazd stałych. Patrząc na niebo gołem okiem, widzimy tylko około cztery tysiące gwiazd. W rzeczywistości do naszego układu należy ich setki miljonów, tylko ich nie widzimy dlatego, że są tak daleko, lub tak małe stosunkowo, że ich światło już na nasze oko nieuzbrojone w lunetę nie działa, można je dostrzec, albo zapomocą silnych teleskopów, albo przy pomocy płyty fotograficznej. Nadto nie widzimy miljonów gwiazd dlatego, że są one ciemne, nie świecą. Mimo to nauka najnowsza wiele z nich poznała i nawet ich wielkość obliczyła. Wielkość tych gwiazd jest rozmaita. Nasze słońce które, jak wiadomo, także należy do gwiazd stałych, ma wielkość średnią, są gwiazdy mniejsze od słońca, ale są i takie, które wielkością swą przewyższają słońce kilka a nawet sto i więcej razy. Wobec nich jest więc nasza ziemia, która jest 1,300.000 razy mniejsza od słońca, tylko drobnym pyłkiem. Prócz gwiazd stałych należą jeszcze do systemu gwiazdowego inne twory, jak mgławice, chmury gazowe o olbrzymiej rozciągłości i pyły kosmiczne.

Jak daleko rozciąga się ten system gwiazdowy? Jest to jedno z pytań najbardziej ponętnych i drażniących dla umysłu. W różnych czasach różne dawano na to pytanie odpowiedzi, a w miarę udoskonalania się środków badania, rozrastał się też i wszechświat przed nami. Dziś astronomja podaje, że najbliższa gwiazda stała jest od nas odległa o cztery przeszło lata świetlne, a najdalsza? — Przed wojną do najdalszej gwiazdy jaką nauka wówczas znała, światło szło 300 tysięcy lat — dziś i ta odległość wzrosła niepomiernie i wynosi około miljona lat. W ostatnich znów tygodniach odkryto wśród mgławicy gwiazdę nową, o której przypuszczają, chociaż jeszcze dosyć

nieśmiało, że światło od niej ku nam biegnie 10 miljonów lat. Ale nie zaliczają jej już do naszego systemu gwiazdowego.

Kształt naszego systemu gwiazdowego nie jest kulisty, lecz owszem wygląd jego jest podobny do ziarnka soczewicy, w której środku leży nasz system słoneczny. Grubość tej soczewicy wynosi daleko poza dwa tysiące lat świetlnych, a szerokość przynajmniej trzy razy tyle. Cyframi temi objęta jest jednak tylko przestrzeń gęściej zasiana gwiazdami, bo po za tem ciągną się dalej gwiazdy aż do odległości, o której wyżej była w zmianka.

Do każdej z tych gwiazd dojść możemy niejako tylko na promyku światła, który od niej ku nam przychodzi i nauka dotychczas niema innego sposobu badania gwiazd, jak tylko przez ten promyczek. A jest on tak wątłym, że nie posiada prawie zupełnie grubości, gdyż najaśniejsze nawet gwiazda w największym teleskopie, przedstawia się zawsze jako punkt tylko. Zdumiewać się jednak trzeba, co zapomocą tego wątłego promyka, często dostrzegalnego tylko przez przyrządy fotograficzne przystosowane do lunety, zdołali astronomowie dzisiejsi o gwiazdach się dowiedzieć.

Więc najpierw zbadali ogległość wielu gwiazd, wymierzyli ich wielkość i nawet zważyli ich masę, oznaczyli z jakich składników gwiazda jest zbudowaną, jaka jej temperatura, jaki jest mniej więcej jej wiek, to znaczy, które gwiazdy są starsze, a które młodsze, dalej czy rosną co do wielkości, czy maleją, a wreszcie stwierdzono, że te gwiazdy, które nazywamy stałe, — bo nam się zdaje, z powodu ich odległości, że ich położenie na niebie w sposób łatwo dostrzegalny się nie zmienia, iż one mają ruchy i to niesłychanie nieraz szybkie, bo przechodzące u niektórych 300 kilometrów na sekundę, o wiele są szybsze od planet. Wszak ziema nasza biegnie naokoło słońca z szybkością tylko 30 kilometrów na sekundę.

Ale chociaż tak niezmiernie są rozległe granice naszego systemu słonecznego, oko i umysł nasz biegnie jeszcze dalej — do trzeciego zakresu wszechświata, do systemu gwiazd, leżących już poza naszym systemem gwiaździstym. W teleskopach można mianowicie dostrzec nieraz mgławice o kształcie spiralnym, wyglądające jakby śruba świetlna na stale ciemnych przestworzach. Otóż astronomowie jak np. sławny Edidington i inni twierdzą, że te mgławice spiralne są to poprostu całe systemy gwiazdowe, takie same, jak nasz system i że stamtąd gdzieś z jakiejś gwiazdy nasz system z swemi setkami miljonów gwiazd olbrzymich wyglądałby także jako taka mała, ledwo dostrzegalna świetlana chmurka.

Tak w najogólniejszych zarysach wygląda cały ten wszechświat, do którego granic najczulszemi przyrządami możemy dotrzeć. Pozanim leży prawdopodobnie inny znów wszechświat, złożony z mnóstwa systemów gwiazdowych, do którego jednak człowiek żadnym sposobem dotrzeć nie może, za nim inny, inny, i znowu inny — jak daleko? Niewiadomo.

A w tem wszystkiem i poza tem wszystkiem Bóg, Stwórca, wobec którego wszystkie te wszechświaty są tylko marnym pyłkiem — i do którego należy wszystko całkowicie, teraz i bez końca. Przeminą i przekształcą się te wszechświaty, spłoną gwiazdy i zgaśnie światło, powstaną nowe i nowe, a dusza człowieka trwać będzie ciągle. Bo ona więcej warta, niż wszystkie wszechświaty — bo ona niematerjalna. *Ks. F. Hortyński.*

—o—